

BOHDAN

PETECKI

SOLA

Z NIEBA

PÓŁNOCNEGO



Bohdan Petecki

SOLA Z NIEBA PÓŁNOCNEGO

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-04-5

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1977

Projekt okładki: Filip Dolatowski

SPIS TREŚCI

Sen czy nie sen

Kto rano wstaje...

Nie boję się ciebie...

Sola z nieba północnego

Dzień piętnastu księżyców

Sam na Ganimedzie

Gdzieś w kosmosie...

Ocalony

Gwiazdy wzywają Ziemię

Do widzenia, gwiazdy...

Sen czy nie sen

– Jarek!

Zaszumiało. Południowy wiatr przecesał brzegi Płocicznej, zmiotł z powierzchni jeziora odbicie suchych pni, sterczących ze skarpy niby olbrzymie, rosochate wędziska, po czym pomknął w stronę obozu i zatargał koronami wysokich sosen.

– Jaaarek!!! – głos drużynowego wzniósł się w ślad za wiatrem. Był to dobry, młody głos, z tych, jakie nie milkną w ryku wzburzonych oceanów. Cóż tam dla nich przedwieczorny wietrzyk, buszujący w sosnowych kitkach.

Tym razem jednak i ten głos nie przyniósł upragnionego odzewu. Sosny poburczały, po czym ucichły. Las zamarł w milczącym bezruchu.

Druh Aleksander, czyli po prostu Olik, drużynowy i komendant obozu „Węży Wodnych” czekał jeszcze chwilę nasłuchując, wreszcie potrząsnął ze złością głową i spojrzął na zegarek.

– Siódma... – mruknął. – Jeżeli ten... – tu nastąpiło słówko, które akurat utonęło w ponownym przyplywie wiatru – ...dzisiaj także wytnie jakiś numer, to sam osobiście odstawię go na stację i wsadzę do pociągu. Niech mama i tata biegają za nim po mieście, kiedy przyjdzie mu ochota zniknąć im z oczu. Obóz to obóz...

Gniewne mamrotanie Olika zagłuszyły nagle odgłosy nieporównanie potężniejsze, niż szum wiatru w koronach drzew. Przez gęsty, świerkowy młodniak, rozpościerający się zaraz za piaszczystą ścieżką, szło coś ogromnego. Komendantowi zaświtał w myśli obraz rannego bawołu, następnie goryla, po gorylu przyszła kolej na starą, wąskotorową lokomotywę, a po niej dopiero na druha Chrabala. Tę ostatnią myśl poprzedził bowiem dźwięk, którego sprawcą nie mógł być nikt inny, jak wspomniany młody człowiek z obozu „Węży”.

Z zagajnika wysunęła się pokraczna, szara bryła, przypominająca monstrialne mrowisko. Dotarła do środka ścieżki i zatrzymała się, chybocząc do tyłu i do przodu. Z bliska już nieco mniej wyglądała na starą lokomotywę, a więcej na to, czym była w istocie: kupę chrustu z Kazikiem Chrabalem pod spodem.

– O rany... – jęknął grobowy głos. Dochodził jakby z głębi ziemi i brzmiała w nim najczarniejsza skarga, zdolna obudzić litość w granitowym posągu.

Ale drużynowy to nie posąg. Skarga nie przystoi „Wężom”, nawet jeśli chwilowo przebywają wewnątrz kupy chrustu. Nic dziwnego, że twarz Olika ściągnęła się w surowym grymasie. Jego prawa brew powędrowała do góry, co czyniła zawsze, ilekroć druh komendant miał przemówić w całej powadze swego autorytetu i swych dwudziestu z górą lat.

– Co tam znowu?!

Na dźwięk tego głosu w kupę chrustu wstąpiło nowe życie. Zafalowała gwałtownie, po czym uniosła się o kilka centymetrów, odsłaniając utkwioną w piachu parę niebieskich tramppek.

– Nic, druhu... – zabrzmiał zduszony szept. Równocześnie Kazik rażno ruszył do przodu.

– Uwważaj! – wrzasnął Olik. O ułamek sekundy za późno. Niebieskie trampki osiągnęły przeciwległy kraniec ścieżki, gdzie czekał na nie okazały pień zwalonego przez burzę drzewa. W niebo uderzył gniewny okrzyk. Chruściana wieża opisawszy w powietrzu szeroki łuk, runęła na ziemię, napelniając las przeraźliwym trzaskiem. To, co przedtem ukazywało się nieśmiało przy samej powierzchni ścieżki, teraz sterczało dumnie w całej okazałości niby dwa powiewające na wietrze proporce. Nie da się ukryć, że to coś bardzo przypominało niebieskie trampki, tyle że oglądane z dość niezwykłej perspektywy.

– No właśnie... – burknął drużynowy, przytakując sobie ruchem głowy. Odczekał chwilę, by policzyć tańczące wśród pękających gałązek kończyny druha Chrabala, po czym, stwierdziwszy, że żadna z nich nie utraciła przyrodzonej sprężystości, dorzucił z przekąsem:

– Łamaga... – Następnie obrzucił ostatnim, nieżyczliwym spojrzeniem miejsce krótkiej potyczki niebieskich trampek z sosnowym pniem, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie. Przeszedłszy kilka kroków, zatrzymał się jednak ponownie, jakby tknięty jakąś nową myślą.

– Widziałeś Jarka? – rzucił przez ramię, nie oglądając się.

Trwało chwilę zanim za jego plecami umilkły odgłosy kotłowaniny. Wreszcie nastąpiła cisza.

– Nie, druhu... – zabrzmiał zdyszany głos Kazika. – A co, znowu wyparował? Pewnie śpi w jakiejś dziurze, jak zwykle...

Pięć minut później drużynowy stanął na skraju wysokiej, stromej skarpy, porosłej kępami kłującej trawy. U jego stóp leżał obóz. Rozłożył się na płaskim, piaszczystym cypelku, osłoniętym od zachodu ruinami dwóch potężnych bunkrów. W tej okolicy widok tych ostatnich był czymś zwyczajnym. W ostatnim roku drugiej wojny światowej biegła tędy pancerna linia Wału Pomorskiego. Przez wiele dni z tysięcy strzelnic takich właśnie bunkrów hitlerowcy pluli ogniem dział i karabinów maszynowych do nacierających polskich i radzieckich żołnierzy. Od Wałcza przez Człopę po Dobiegniew oraz dalej na północ, do Mirosławca i Drawska, lasy dziś jeszcze pocięte były jak pajęczyną gęstą siecią rowów przeciwczołgowych i okopów, łączących owe mroczne, ślepe, posępne budowle. Ich żelbetowe stropy, przeważnie zwalone i pokruszone, porastały teraz zielskiem. Niektóre z nich, lepiej zachowane, wabiły przechodniów tajemniczymi czeluściami wyzierającymi zza uchylonych pancernych drzwi. Takie drzwi zawsze obiecują przygodę, nie zawsze jednak spełnienie tej obietnicy przynosi pożądane skutki. Pół biedy, jeśli wdepnie się tylko w pułapkę pozostawioną przez poprzedników, których jednak zapędziła do bunkra nie żądza wiedzy, a nieubłagana konieczność. Gorzej, kiedy z mroku wyłoni się nagle stalowa belka, i to akurat na wysokości wietrzącego przygodę nosa. Całkiem źle, jeżeli po omacku trafi się stopą w betonową rozpadlinę. Wtedy pozostaje tylko liczyć na własne struny głosowe oraz na to, że ktoś, kto przypadkiem błąka się w pobliżu, pojmie, o co chodzi i pośpieszy z pomocą.

Nie bez powodu przypomnieliśmy teraz właśnie niebezpieczeństwa grożące badaczom starych bunkrów. One to bowiem, to znaczy niebezpieczeństwa, nie bunkry, przewijały się przez wyobraźnię druha Aleksandra, kiedy tak stał nad urwiskiem na skraju puszczy i wodził wzrokiem po rozłożonym w dole obozie.

Olik nie bał się jeziora. Warunkiem przyjęcia na obóz było posiadanie karty pływackiej i drużynowy osobiście sprawdził, że jego Węże w wodzie przeobrażają się w węgorze. Nie, myśląc o powierzonych jego opiece chłopcach, Olik nie bał się jeziora. Bał się natomiast bunkrów. Nie tych u stóp wysokiej skarpy, w najbliższym sąsiedztwie obozu. Te były rozwalone ciężkimi pociskami, a pokruszone płyty betonu skutecznie zagrażały wejście do podziemi, jeśli w ogóle zostały tam jeszcze jakieś podziemia. Niepokoiły go inne, rozsiane po okolicznych lasach. Dlatego każda przeciągająca się nieobecność kogoś z wodniaków napawała go troską, która tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, aż opuszczał swoją „generalską” ławeczkę przed namiotem i sam szedł posłuchać, co w trawie piszczy. A raczej czy coś nie piszczy spod trawy. I dlatego właśnie stał teraz tu, na górze, po bezskutecznym, jak dotąd, marszobiegu przez najbliższe rejony Puszczy Drawskiej, zamiast pozostać w obozie i gospodarskim okiem oraz stosownymi komendami „pomagać” chłopcom przygotowującym wieczorne ognisko.

A wieczór zapowiadał się przyjemnie. Za niespełną godzinę na skraju piaszczystego cypla buchnie płomień, kładąc się na wodzie złocistą ścieżką. Jak za dawnych, pięknych, pogańskich czasów, ogień otoczą ciemne sylwetki druhów o spoważniałych nagle twarzach. Zabrzmi piosenka, stara i zawsze miła harcerskim sercom. A przedtem jeszcze dyżurni rozdadzą Wężom i ich gościom, dziewczętom z sąsiedniego obozu, mocne, świeżo zaostrzone wiklinowe witki. Pod palenisko podjedzie kocioł pełen pociętej na tęgie porcje i

dobrze pachnącej czosnkiem wiejskiej kiełbasy. Taką właśnie kiełbasę, specjał nad specjały, udało się dzisiaj zdobyć w nadleśnictwie druhowi intendentowi, dzięki jego osobistemu urokowi i stałej gotowości prawienia pochlebstw każdej spotkanej istocie, u której zauważył coś, co byłoby mile widziane w obozowej spiżarni. No cóż, intendent może, a nawet powinien, piastować cnoty błędnego rycerza, ale nie w godzinach służbowych. A na obozie, jak wiadomo, jego godziny służbowe trwają od pierwszej do ostatniej trąbki i od ostatniej do pierwszej.

Olik pociągnął nosem, jakby chciał sprawdzić, czy w powietrzu już nie unosi się zapach przypieczonej na złoto kiełbasy. Następnie jego myśli wypełnił obraz Marylki, drużynowej dzisiejszych gości Węży, dziewczyny o włosach tak czarnych, że aż granatowych i o szczególnie długich, opalonych na brąz nogach. Tak, wieczór zapowiadał się naprawdę przyjemnie. Chyba, że ta łajza, Jarek...

– Cholera – warknął komendant w nagłym przypiływie złości. Wyprostował się odruchowo, podciągnął pas i ponownie spojrzął na zegarek. Siódma dziesięć. Minęło już dwadzieścia pięć minut, od kiedy spostrzegł, że wśród krzątających się w obozie chłopców nie ma Jarka. Znowu „tego” Jarka. Dwadzieścia pięć minut to niby nic takiego. Nie tylko spotkany przed chwilą w tak dramatycznych okolicznościach Kazik Chrabal wybrał się do lasu po chrust. Inni chłopcy również. Ale Jarkowi drużynowy osobiście zabronił oddalać się od obozu, i to pod jakimkolwiek pozorem. Ten surowy wyrok został ogłoszony na apelu, w obecności wszystkich Węży i jak nigdy spotkał się z powszechną aprobatą.

Bo też trzeba przyznać, że druhowi Jarkowi Kolińskiemu przytrafiła się historia zupełnie niesłychana. Pewnego ranka, a konkretnie trzy dni temu, przed porannym apelem, nagle wyparował. Krzyczeli, nawoływali... nic. Przepadł jak kamień w wodę. Kiedy zabrakło go na obiedzie, co samo przez się świadczyło już o powadze sytuacji, Olik zarządził alarm.

Szukali go do wieczora. Szukali i przez całą noc, już z pomocą nadleśniczego wraz z grupą pracowników leśnych. Przedtem jeszcze, rzecz jasna, pomyśleli o jeziorze. Ale wszystkie łodzie i kajaki stały przy brzegu, więc pokłuli tylko bosakami dno wokół przystani i nurkowali, wydzierając sobie gumowe maski, w promieniu kilkudziesięciu metrów od pomostu. Nie natrafiwszy na żaden ślad, ruszyli w las. Przetrzęsnęli całe hektary puszczy, zaglądali do wszystkich dołów i dołków, wdzierali się w chaszczę, zdobiąc kolczaste maliniaki strzępami spłowiałych bluz i własnej, opalonej skóry. Wszystko na nic.

Kolację jedli wówczas w milczeniu, na chybcika, rozcierając ukradkiem opuchnięte kolana i łokcie. Potem podzielili się na tyle grup, ilu było wśród nich miejscowych pracowników nadleśnictwa. Pod ich komendą, zaopatrzeni w latarki, szukali dalej. Ze szczegółowymi mapami w rękach, systematycznie, przepatrzyli jeden po drugim wszystkie pobliskie bunkry i na pół zasypane rowy strzeleckie. Tej nocy nikt nie spał w obozie.

Wreszcie, o czwartej nad ranem, Olik zwołał naradę kadry. Nie było ich wielu. Zastępca komendanta, kwatermistrz, intendent, jeszcze jeden instruktor i dwóch zastępowych. Obóz liczył zaledwie dwudziestu ośmiu uczestników. Po wielu burzliwych dyskusjach w Komendzie Chorągwi, Olikowi udało się uzyskać zgodę na samodzielny wyjazd drużyny. Ani on sam, ani jego Węże nie lubili jeździć z całym hufcem. Lepiej czuli się w swoich kilku namiotach, ukrytych między drzewami w jakimś pięknym a zapomnianym przez ludzi zakątku, aniżeli pośrodku obozowego miasteczka, po którym uganiają dowożące prowiant furgonetki, gdzie jada się w ogromnych oszklonych stołówkach, słucha muzyki płynącej z ochrypłych głośników i gdzie aż srebrzy się od sznurów Bardzo Ważnych Osobistości.

Tym staranniej teraz unikał Olik wzroku kolegów. Zresztą, w gruncie rzeczy, niewiele mieli sobie do powiedzenia. Na dobrą sprawę chodziło tylko o to, kto pojedzie do miasta porozmawiać z milicją i wysłać telegram do Szczecina, by zawiadomiono rodziców Jarka. Wybór padł na zastępcę komendanta. Był nim Marek Fura, chłopisko prawie dwumetrowe,

żyłaste, ale tak chude, że stary Kowalik, który uczył geografii, a poza tym lekko niedowidział, wziął go kiedyś za wieszak i koniecznie chciał na nim umieścić fizyczną mapę Europy.

Kiedy krótka narada dobiegła końca, Marek wstał i zaczął przygotowywać się do drogi. Nie powiedział jednego słowa, niemniej widać było, że tym razem on sam chętnie zamieniłby się w wieszak, albo coś równie bezosobowego. No cóż, misja, jaką mu zlecono, z pewnością nie była do pozazdroszczenia.

I w tym właśnie momencie, dokładnie siedem minut po piątej, ze szczytu skarpy dobiegł rozzwierający okrzyk Węża:

– Jeeest!!!

Las po przeciwnej stronie jeziora odpowiedział echem.

– Jeeest!!! – zabrzmiało ponownie. Jakby czyjaś najmilsza na świecie drużyna strzeliła najpiękniejszą na świecie bramkę.

Obóz ożył. Chłopcy, z których każdy jeszcze kilka sekund temu gotów był przysiąc, że jego nogi ważą po kilka ton, darli się w górę stromego, piaszczystego zbocza jak stado młodych kozic. Chwilę później na placu pomiędzy namiotami pozostał samotny Olik.

On też zerwał się w pierwszej chwili, kiedy powietrze przeszył tryumfalny okrzyk wartownika. Ale nie pobiegł ze wszystkimi. Stał jakiś czas, pocierając palcami czoło, jak człowiek budzący się ze snu, następnie odetchnął głęboko i najspokojniej w świecie zasiadł na ławeczce. Nogi wyrzucił przed siebie, na całą ich długość i splótł ramiona na piersi. Czekał.

Jarka odnalazł nadleśniczy, który wraz ze swoimi ludźmi ani na moment nie przerwał poszukiwań. Chociaż „odnalazł” nie jest w tym wypadku najwłaściwszym określeniem. W pewnym momencie chłopiec po prostu wyszedł z leśnej przecinki i widząc znajome, zielone mundury, powiedział grzecznie: „dzień dobry”. Następnie zachowywał się tak, że gdyby nie jego kwitnący wygląd, zdrowego, dobrze wyspanego młodego człowieka, nadleśniczy ani chybi doszedłby do wniosku, że chłopak doznał szoku i bredzi teraz w śmiertelnej gorączce. Na pytanie, gdzie, u licha, tkwił przez okrągłą dobę, Jarek zrobił urażoną minę i wyjaśnił, że wstał tylko nieco wcześniej niż zwykle i przed apelem wybrał się do lasu na grzyby. A teraz właśnie wraca, bez grzybów wprawdzie, ale za to z nadzieją, że zdąży na śniadanie.

Dobry humor chłopca nie trwał jednak długo. Spozrzegli, jak obecni przyjmują jego opowieść, urwał nagle w połowie słowa, po czym dłuższą chwilę stał nieruchomo w miejscu, jakby porażony jakimś niezwykłym odkryciem. Wreszcie, gdy ostatecznie wyprowadzony z równowagi nadleśniczy chwycił go za ramiona i potrząsnął z całą siłą, na jaką stać człowieka po dwudziestogodzinnym deptaniu puszczy, Jarek wydał z siebie złowrogi jęk, tak przejmujący, że otaczającym go ludziom przemaszerowały przez plecy roje zimnych mrówek. Potem wymamrotał szybko coś bez ładu i składu, zwiesił nisko głowę i nie oglądając się na nikogo, ruszył prosto do obozu. Szedł wolnym, jednostajnym krokiem, nie przestając celować wzrokiem w koniuszki własnych butów i sprawiał wrażenie, że do jego świadomości nie dociera nic, ale to nic z tego, co dzieje się wokół niego.

Dotarłszy w końcu przed oblicze drużynowego, nie mówił już o grzybach. Początkowo nie mówił w ogóle nic. A Olik też o nic nie pytał. Siedział w nie zmienionej pozycji, z twarzą kamiennego Sfinksa i czekał. Wciąż czekał.

Chłopcy umilkli również. Otoczyli ławeczkę ciasnym pierścieniem i zamarli w bezruchu. Nigdy jeszcze, nawet najgłębszą nocą, w obozie nad jeziorem nie było tak cicho.

Wreszcie, po ładnych kilku minutach, Jarek oprzytomniał. Wyprostował się, głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił go z ciężkim westchnieniem. Następnie oświadczył, że poprzedniego dnia istotnie wstał bardzo wcześnie rano i wyszedł do lasu, gdzie nagle ponownie ogarnęła go nieprzeparta senność. Na pierwszej napotkanej polanie zaszył się więc

w stogu siana, z którego wylazł... niespełna pół godziny temu. Dodał jeszcze, że siano bardzo mocno pachniało i że wobec tego stanu, w jakim on, Jarek, pozostawał przez minione dwadzieścia cztery godziny, nie godzi się nazywać zwyczajnym snem, a tylko odurzeniem.

To oczywiste łgarstwo dopełniło miary. Oczywiście, bo obraz Węża wysypiającego się bezczelnie, podczas kiedy cały obóz dzień i noc ugania się za nim po najsroźszych ostępach, był czymś tak koszmarnym, że żadnemu z chłopców przez myśl nawet nie przeszło, aby w tłumaczeniu Jarka mogła tkwić choćby szczypta prawdy. Co do samego Olika, to dla niego przynajmniej wszystko stało się jasne. Chłopak ugrzązł w jakimś bunkrze, do którego wlaź wbrew najsurowszym przepisom obozowego regulaminu, a teraz zmyśla jak najęty, w przekonaniu, zresztą nie pozbawionym słuszności, że cokolwiek powie, nie zabrzmi to w uszach drużynowego tak źle, jak ta najgorsza ze wszystkiego prawda.

W pierwszej chwili Olik miał zamiar odesłać Jarka do domu. Potem, nieoczekiwanie dla samego siebie, zmienił decyzję. Po pierwsze, było mu trochę wstyd, że jeden z jego Węży, do których zwykł przemawiać w tonie niezupełnie ojcowskim, ale których szczerze lubił, wyciął tak niesłychany numer. Po drugie, fakt, że chłopiec się w końcu znalazł, cały i zdrowy, natchnął drużynowego pełną wyrozumiałości sympatią dla całego świata. Po trzecie wreszcie, jakieś przeczucie mówiło Olikowi, że w całej tej sprawie kryje się coś niejasnego. Nie znaczy to, rzecz prosta, że gotów był przyjąć za dobrą monetę bajdurzenie o śnie czy jakimś tam odurzeniu, trwającym całą dobę. I nie znaczy też, że domyślał się prawdy. Ale tej nie domyśliłby się nikt. I nikt by nie uwierzył, gdyby mu ją opowiedziano.

Tak czy owak, skończyło się wtedy na krótkim, męskim monologu, zakończonym najsurowszym zakazem opuszczania obozu o jakiegokolwiek porze dnia czy nocy bez osobistej zgody komendanta. Wyrzuciwszy z siebie ostatnie twarde słowo, Olik uniósł prawą brew, co miało zaświadczyć o jego nieprzejednaniu. W gruncie rzeczy jednak był zadowolony, że nie spławił chłopca z obozu. Mógł przyjąć zakład, że Jarek Koliński nie przysporzy mu więcej kłopotów.

Tymczasem minęły zaledwie trzy dni i drużynowy znowu ma za sobą tęgą rundkę po lesie, w pogoni za tymże samym Jarkiem. Pół godziny to wprawdzie jeszcze nie doba, niemniej chłopiec wbrew wszystkiemu, co wtedy zostało powiedziane, a także, lub może nawet w pierwszym rzędzie, temu, co pozostało niedopowiedziane, zniknął. Jeżeli i tym razem...

Olik ponownie musiał pomyśleć o długonogiej druhnie Marylce. Jego wzrok przesunął się po piaszczystym cypelku. Słońce zaszło już za wysoki brzeg jeziora. Powierzchnia wody błyszczała jeszcze jak szkło, ale kontury namiotów na brzegu rozmiękły, rozmazały się w cieniu. Na pociemniałym piasku wyraźnie rysował się krąg paleniska, wyłożonego białymi kamieniami. Opodal czerniał wysoki jak góra stos chrustu. Tam gdzie znajdowała się kuchnia, nad koronami drzew leżała niska smuga jaśnieutkiego dymu. Wieczór był wyjątkowo ciepły. Obóz przedstawiał obraz pogody i ciszy.

Olik zacisnął pięści. Pomyślał o nadchodzącej nocy, o dziewczętach zaproszonych na ognisko, o Wężach wyłazających ze skóry, żeby przyjęcie wypadło na medal. Księżycowa noc, strzelające w płomieniu suche, sosnowe gałęzie, dziewczęta, zapach rumieniającej się kiełbasy... to jeden z dwóch możliwych obrazów najbliższej przyszłości... Drugi – to bunkry, chaszcze, strach i beznadziejna mordęga nocnych poszukiwań.

Drużynowy poczuł nagle, że ogarnia go najczystsza wściekłość. Zaczerpnął powietrza, aż mu żebra zatrzeszczały, ugiął nogi w kolanach, jakby gotując się do skoku i wrzasnął tak, że w odległym o trzy kilometry rezerwacie obudziły się wszystkie ptaki:

– Jaaarek!!!

Przez głęboki błękit nieba przebiło światło pierwszej gwiazdy. Planety – poprawił się w myśli Jarek. Przymknął oczy i przez następne trzydzieści sekund szybował w przestrzeni, kierując się ku Wenus. Otoczyła go nieskończona noc czerni, usiana nieskończoną ilością złotych rozprysków. Z tej czerni wyłoniła się raptem kulista, lekko przypłaszczona bryła. Przypominała piękny, niebieskozielony klejnot i rosła w oczach. Nie zbliżała się, a właśnie rosła. W bezkresach wszechświata nie ma atmosfery, nie ma także perspektywy. Coś, ku czemu zmierzamy, powiększa tylko swoje rozmiary. Coś, od czego się oddalamy, maleje.

Ale ta piękna, opalizująca kula, to nie była Wenus. Jarek nie raz i nie dwa oglądał kolorowe zdjęcia, przesyłane z pokładów sztucznych satelitów. Piękny jest Saturn ze swymi barwnymi pierścieniami. Jowisz, w oprawie dzikich, pędzonych burzami chmur. Ale takiej niebieskozielonej tęczy, przetykanej srebrem świecących w słońcu obłoków, nie ma żadna z planet, prócz Ziemi.

Pod płaskim dziobem łodzi zachlupotała fala. Jakiś ostatni, zabłąkany powiew wiatru. Trzciny w zatoczce poszeptały chwilę, coraz ciszej, po czym znieruchomiały znowu. Z pobliskiej kępy dobiegło zrzędlawe wymyślanie kaczkę zbudzonej z pierwszego snu.

Jarek otworzył oczy i uniósł się na łokciach. Syknął. Podłoga omegi, wzmocniona kanciastymi żebrami, nie była najwygodniejszym leżem. Zresztą i tak najwyższy czas wracać.

Wstał, potarł dłońmi odcisnięte, obolałe miejsca, następnie podciągnął wyżej cholewki gumiaków i wskoczył do wody. Do brzegu nie było więcej, niż dziesięć metrów piaszczystej płycizny. Przebył je bez pośpiechu, starając się robić jak najmniej hałasu. Wyszedł na wąską plażę i skierował się w stronę przystani. Wszedł na drewniany pomost, odziedziczony po nieznanych dobroczyńcach, którzy biwakowali tutaj w ubiegłych latach, po czym zatrzymał się ogarniając spojrzeniem całe wodniackie obejście Węży.

Wszystko w porządku. Omegi i piraty tkwiły nieruchomo, w regularnych odstępach, solidnie przycumowane do zakotwiczonych boi. Za plażyczką ułożone jeden za drugim kajaki ukazywały pękate brzuchy, pociągnięte smolistą farbą. Pod drewnianym daszkiem szarzały plamy kapoków. Nad nimi spoczęły równo poukładane wiosła. Robota została wykonana fachowo i bez pudła.

Z piersi Jarka wyrwało się westchnienie. Człowiek może wiedzieć, że zrobił, co do niego należało. Wtedy ma prawo przyjść do swoich i czuć, że jest wśród swoich. Nie tak, żeby być blisko nich, tylko razem z nimi. Razem, to wielka rzecz. Pleść trzy po trzy, rzucać w siebie słówkami, a rozumieć się bez słów. Tak to jest.

Ale nie każdy człowiek. Na przykład nie taki, któremu zdarzyło się coś podobnego jak Jarkowi. Wiedział, że chłopcom nie chodzi o tę bezsenność, zmęczenie i poobdzierane łokcie. To wszystko jest dla Węży czymś zwyczajnym i nie pozbawionym smaku dobrej przygody. Ale pierwszym, niepisany prawem obozu nad jeziorem była solidarna troska o jego ciężko wywalczoną samodzielność. Żeby żaden z szacownych przełożonych Olika nie mógł powiedzieć z błyskiem tryumfu w oczach: „widzicie? A nie mówiłem?...” Tymczasem to, co zrobił Jarek, prowadziło prostą drogą do sytuacji, w której takie słowa nie tylko mogły, ale musiały paść. I w której ani drużynowy, ani żaden z Węży nie znalazłby na nie odpowiedzi...

Kolejne ciężkie westchnienie uleciało z pomostu w gęstniejący mrok. Tak, wiele wody upłynie w Płocicznej, zanim chłopcy odzyskają do niego zaufanie. A co gorsze, nie ma żadnego ludzkiego sposobu, żeby zmienić ten stan rzeczy. Owszem, teoretycznie istniała jedna możliwość. Opowiedzieć prawdę. Ale właśnie tylko teoretycznie. Bo trzeba by to zrobić tak, żeby ktoś w tę prawdę uwierzył. Co, zdaniem Jarka, przekraczało możliwości zarówno jego, jak i ewentualnych słuchaczy.

Raz jeszcze przymknął oczy, żeby uciec myślami od ponurej rzeczywistości. Przez chwilę usiłował ponownie wyobrazić sobie zawieszoną w przestrzeni Ziemię, jako piękną, opalizującą kulę, przypominającą niebiesko-zielony klejnot.

Ale zamiast Ziemi ukazały mu się nagle zarysy dziewczęcej twarzy, okolonej długimi włosami. Twarz ta była Jarkowi znana. Jak dobrze znana. I miła, więcej, niż tylko miła, chociaż tak ściśle kojarzyła się z tym wszystkim, co spowodowało jego obecne położenie.

– Sola... – szepnął.

Przypomniał sobie jak to było, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Inaczej niż teraz, w pełnym słońcu, bijącym od wody blasku i zapachu rozgrzanych sosen. Stało się to niecałe pół kilometra stąd, na małym, półkolistym półwyspie, gdzie poprzedniego dnia rozłożyły się obozem harcerki ze Stargardu. Chłopcy, którzy przybyli kilka dni wcześniej i większość prac obozowych mieli już za sobą, pośpieszyli z sąsiedzką pomocą. Rzecz jasna, że dziewczęta obeszłyby się bez tej pomocy, ale jak tu pominąć taką wspaniałą okazję zawarcia znajomości? Tak więc względy towarzyskie zdecydowały o tym, że oferta została przyjęta.

Jarkowi wypadło wbijanie pali pod przyszły pomost. Uporał się właśnie z pierwszym rzędem i brodząc w ciepłej wodzie wrócił do brzegu, żeby zacząć całą mozolną wędrówkę od początku, kiedy na stromej ścieżce, prowadzącej od obozu, ukazała się dziewczyna. Była w białej bluzeczce, ściągniętej pod stanikiem na prosty węzeł i białych, obcisłych szortach. Przy tej bieli jej szczupłe ramiona i smukłe nogi wyglądały jak odlane z brązu. To jeszcze nie takiego. W końcu, opalić może się każdy, tak samo jak włożyć białe ubranie, choćby nie wiem jak zgrabnie uszyte. Ale już nie każdy może poruszać się z takim wdziękiem, zbiegając ze stromego zbocza.

Chłopca zamurowało. Nie drgnął nawet wtedy, kiedy dziewczyna nie zatrzymując się wbiegła do wody, zachwiała i aby odzyskać równowagę, chwyciła go lekko za ramię. Zaśmiała się. Był to najmiłszy śmiech, jaki kiedykolwiek zdarzyło się Jarkowi usłyszeć.

– Przepraszam – parsknęła. Nie była nawet zdyszana.

Nie odpowiedział. Dopiero po dobrej chwili zauważył, że dziewczyna przyniosła ze sobą brudną menażkę z szerokim wieczkiem. Przykucnęła w wodzie tuż obok Jarka i zabrała się do roboty. Wieczko umieściła na jednym z wbitych już pali. Menażką zaczerpnęła z dna piasku i zaczęła ją szorować.

Jarek wciąż patrzył. Patrzył i patrzył.

Co tu dużo gadać. Kasztanowe włosy z kilkoma ruchliwymi kosmykami. Długie, czarne rzęsy nad niebieskimi oczami, drobny, kapkę zadarty wścibski nosek, brzoskwiniowy meszek na policzkach... A dookoła woda, pachnące sosny na wysokim brzegu, słońce i wiatr. Ech, ludzie...

Sam nie wiedząc kiedy, Jarek pochylił się nagle, zdjął z kołka aluminiowe wieczko, ze śladami starannie wyjedzonej jajecznicy i przykucnąwszy obok dziewczyny zaczął je pocierać piaskiem. Zerknęła na niego, po czym zaśmiała się znowu. Tym razem jednak ten śmiech zabrzmiał inaczej. Jakby odrobinę ciszej.

Dłuższą chwilę na plażycie słychać było jedynie zgrzyt ziarenek piasku o blaszane naczynia. Jarek wkładał w tę czynność tyle siły, jakby chciał przewiercić wieczko na wylot. Przerwał dopiero, kiedy z brzegu dobiegł go głośny śmiech. Jakże inny od tego, którego dźwięk tylko co sprawił, że wszystkie myśli pierzchły spod jego czaszki, jakby ją ktoś nagle otworzył, a potem mocno dmuchnął.

Powoli uniośł głowę. Tam, gdzie zaczynał się przyszły pomost, przystanęły trzy dziewczyny. Pierwsza, mała i gruba, miała na sobie mundur. Druga, wyższa, ale za to niewiarygodnie długiej twarzy zakończoną brodą w kształcie rozdeptanego rogala, włożyła na siebie coś, co przypominało wielki impregnowany wór, a było nie wiedzieć w jaki sposób zdobytą rybacką kurtką. Trzecia była ładna. Co z tego. Trzy dziewczyny. Trzy wiedźmy, jak niezwłocznie się okazało.

– Popatrzcie – zawołała gruba – Sola dorwała nowego jelenia...
– I to takiego od kuchni – zachichotała ta z końską szczęką.
– To nic – dodała trzecia. – Na obozie lepszy kuchcik niż tancerz. Zresztą w razie czego i tancerz się znajdzie. W Głusku widziałam bardzo przystojnego leśniczego. Co ty na to, Sola?... Nie przeszkadzaj sobie – w głosie więdźmy, kiedy spojrzała na Jarka, zabrzmiała matczyzna nuta. – W domu będziesz miał jak znalazł...

Zachichotały po raz ostatni i poszły w swoją stronę.

Mężczyzna w piętnastym roku życia zna już na ogół gorzki smak zazdrości. Jarek nie był wyjątkiem. Ale co innego samemu doznawać takiego uczucia, a co innego wiedzieć, że bywa ono także udziałem innych. Dlatego to, co uczyniły trzy więdźmy, nie od razu należycie oceniono.

Mężczyzna w piętnastym roku życia może, ale nie musi, znać smak zazdrości, natomiast musi, a nie tylko może, mieć poczucie własnej godności. Kiedy ucichł szatański chichot dziewcząt, Jarek wyprostował się na całą swoją wysokość. Bez pośpiechu umieścił blaszane wieczko z powrotem na wbitym przez siebie palu, po czym splótł ręce na piersi i utkwiał w przycupniętej obok dziewczynie mordercze spojrzenie.

– Sola... – powiedział przeciągle, jakby coś rozważając. – To od ryby czy od solniczki?...

Ofiara niespodziewanego ataku powoli uniosła głowę i obdarzyła chłopca najbardziej niebieskim ze swoich spojrzeń.

– Co?... dlaczego?... – uśmiechnęła się niepewnie.

– Sól – wyjaśnił Jarek. – Sola, hm... – zastanowił się. – Tak, to nie tylko imię – zaopiniował; – To raczej charakter...

Dziewczyna wstała. W jej oczach zamigotały błękitne światełka.

– A ty? – prychnęła. – Jak ci na imię?

Wzruszył ramionami.

– Jarek. Wiesz coś z tego?

– Wiem coś i bez tego – odparowała. – Dla mnie wystarczy. Niestety, nie jest to nic przyjemnego – dodała z ubolewaniem. – Ale nie mam zwyczaju kłócić się z pierwszym lepszym aroganckim smarkaczem!

Jarkowi uderzyło na twarz gorąco. Chwilę rozpaczliwie myślał.

– Dobra, dobra – wyrzucił wreszcie. – Nie zadzieraj nosa. Już i tak można na nim wieszać obrazki...

Sola prychnęła tylko pogardliwie, porwała naczynia i pobiegła w stronę namiotów.

Wszystko to odżyło teraz w pamięci chłopca, kiedy tak stał na pomoście z zamkniętymi oczami i usiłował choć na chwilę oderwać się myślami od niewesołej rzeczywistości. Tak, tamto pierwsze spotkanie trudno nazwać udanym. Potem było już trochę lepiej. Lepiej, co nie znaczy, że dobrze. Aż do przedwczoraj...

Odetchnął głęboko i z nagłą determinacją unióś powieki.

Mrok dotarł już nad jezioro. Powierzchnia wody zgasła. W górze natomiast zapaliły się gwiazdy. Już nie tylko Wenus, ale i dziesiątki dalekich słońc, kreślących zawile rysunki konstelacji. Jarek rozpoznawał je bez trudu. Nie darmo jego ojciec był z zawodu geografem, a z zamiłowania astronomem. Niejedną godzinę spędzili wspólnie nad mapami nieba i niejedną wieczór przegadali w parku nad morzem, co chwilę zadzierając głowy.

Ojciec... Wśród wszystkich ludzi tylko jemu będzie można opowiedzieć, jak było naprawdę. Miał jedną wspaniałą cechę, która wyróżniała go wśród innych ojców. Mianowicie, umiał słuchać.

Jarek zamyślił się. Na lewo, nad horyzontem, utrzymywała się jeszcze czerwień zachodu. Dopiero za godzinę, może półtorej, i tam niebo pokryje się złotymi punkcikami.

Kilka z nich utworzy zarys lutni. Pierwsza błysnie Wega, jedna z najjaśniejszych gwiazd nieba północnego. Cholerna gwiazda. Gdyby nie ona, gdyby wybrała sobie miejsce w jakimś odległym kącie Galaktyki, gdyby wreszcie kiedyś tam nie opasała się orbitami planet, jak Ziemia, któż mógłby Jarkowi zarzucić najmniejsze uchybienie obozowym zwyczajom? Nie byłoby mowy o żadnym łągowaniu, sianie i tym podobnych bzdurach. Gdyby nie ta ich cholerna pomyłka...

Znowu zacisnął pięści. I nagle tuż przed nim, na tle rozgwieżdżonego nieba jeszcze raz wystąpiły kontury znanej mu tak dobrze twarzy. Dziwne. Przed chwilą, kiedy ją ujrzał, z całej siły zaciskał powieki. Kiedy człowiek stoi z zamkniętymi oczami, ma prawo widzieć różne niestworzone rzeczy. Ale tak, po prostu, na jawie?...

Była coraz bliżej. Powiększała się, dokładnie tak samo, jak tam, daleko, kiedy przyzywał ją w potrzebie. Rozróżniał już oprawę jej oczu, drobny, zadarty nosek, usta...

Uśmiechnęła się. Jak wtedy, nad jeziorem, zanim przyszły tamte trzy wiedźmy. Jej wargi poruszyły się.

– Jaaarek!!!

Twarz dziewczyny zniknęła. Nic dziwnego. Nie miała nic wspólnego z głosem, który dobiegł zgoła nie z nieba, a od strony obozu. I z całą pewnością nie mógł należeć do żadnej istoty płci pięknej. Już prędzej można by powiedzieć, że przeciwnie.

– Jaaarek!!!

Chłopiec wyprostował się odruchowo w tył zwrot i odkrzyknął.

– Jestem, druhu!...

Kto rano wstaje...

Usiadł na trawiastym stopniu, dobre dwa metry za plecami chłopców skupionych wokół ogniska. Kiedy nadchodził, niosąc na wierzbowej witce swoją porcję kielbasy, dwie czy trzy głowy odwróciły się w jego stronę. Po krótkiej chwili wróciły jednak do poprzedniej pozycji. Nie padło ani jedno słowo.

Jarek oparł się plecami o naciąg służbowego namiotu i zapatrzył ponuro w ogień. Nie ma na co liczyć. Żeby stawał na głowie, Węże nie przestaną go się czepiać.

Weźmy tę historię sprzed pół godziny. Pamiętał, i to jak jeszcze pamiętał, że Olik zabronił mu opuszczać teren obozu. Ale ten obóz nie przestał być przecież jego obozem. Widział, jak chłopcy wyłazą ze skóry, żeby olśnić gości świetnością wieczornego przyjęcia. Nadleśniczy uwolnił ich od troski o stan spiżarni. O chrust jednak musieli postarać się sami. Nie było to takie proste, jak mogłoby się komuś zdawać. Wysokopienny, sosnowy las, otaczający jezioro był ubogi w podszycie, właściwie tylko odległa o półtora kilometra poręba dawała szansę zdobycia jakiegoś liczącego się łupu. Toteż komu tylko los oszczędził warty i służby przy kuchni, pedałowal te półtora kilometra tam i z powrotem, ciskał zdobycz na stos obok paleniska, po czym ponownie ruszał w drogę. Niektórzy, mniej odporni nerwowo, próbowali uprościć sobie zadanie, ładując od razu na grzbiet porcję, którą inni rozkładali na dwie, a nawet trzy tury. Najczęściej jednak kończyło się to tak, jak w wypadku Kazika Chrabala.

Tak czy owak chłopcy pocili się solidnie i Jarkowi głupio było siedzieć beczynn timer przy namiotach, nawet jeśli nikt z niczym się do niego nie zwracał. A może to właśnie było najgorsze?

W każdym razie po kilkunastu minutach łązenia z kąta w kąt, sam, z własnej inicjatywy, zaproponował Jackowi Wilczyńskiemu, któremu przypadł w tym dniu dyżur bosmański, żeby ten poszedł pomóc przy zbieraniu chrustu, a on już odwali za niego tę robotę na przystani.

I co z tego? Olik zauważył, że nie ma go przy namiotach i ruszył na poszukiwania. Po czym, zanim Jarek zdążył cokolwiek powiedzieć, objechał go z góry na dół, jak burą sukę. Prawda, że kiedy wreszcie dotarło do niego, co się właściwie stało, zrobił niebyt mądrą minę. Ale co Jarek zdążył usłyszeć, to jego.

Plómienie podsyczone świeżym ładunkiem chrustu strzeliły wyżej. Na twarzach dziewcząt siedzących na ławeczkach, po przeciwnej stronie ogniska, zatańczyła czerwona luna. Rozległ się trzask jakby pękającej petardy i w powietrzu zawirowały iskry. Głowy chłopców poruszyły się jak na komendę. Ktoś coś powiedział. Zabrzmiał krótki, przyciszony śmiech, po którym nastąpiło gromkie, chóralne „aaaa...”

Do zapachu palącego się drewna i skwierczącej na ogniu kiełbasy przyłączył się nowy. Jarek pociągnął nosem i skrzywił się odruchowo. Kakao. Gwóźdź wieczoru. Zalatująca jałowcowym dymem kiełbasa aż się prosiła o kubek gorącej, gorzkiej herbaty. Ale dziewczęta będą wniebowzięte. Niech im wyjdzie na zdrowie. W końcu wszystko to i tak głównie dla nich. Chłopcy wiedzą czego chcą. Każdy z nich wiąże swoje własne, niezbyt jasno określone nadzieje z miłym wrażeniem, jakie pozostawi po sobie w pamięci druhen dzisiejszy wieczór. Nawet Olik ma tutaj swoje sprawy do załatwienia. Nie darmo usiadł na trawie tak blisko tej ich czarnej drużynowej, że aż, niby przypadkiem, dotyka ramieniem jej prawego kolana. Ba, szarża z szarżą. Niech im wyjdzie na zdrowie – powtórzył w duchu.

Jak widać, Jarek nie należał do mściwych. Żałował tylko jednego. Że ci tam, no, ci... obcy, nie pomylili się, jeśli tak można powiedzieć, w przeciwną stronę. Że nie odesłali go dzień wcześniej zamiast o ten dzień później. Dwadzieścia cztery godziny przetrząsania puszczy, dobrze dały się Olikowi we znaki. Co by jednak było, gdyby zamiast nie mieć żadnego Jarka Kolińskiego, miał ich w tym samym czasie aż dwóch naraz?

Musiał się uśmiechnąć. Wizja była zbyt makabryczna i kusząca zarazem. Pomyśleć tylko...

W mroku pomiędzy namiotami wszczął się jakiś ruch. Głośnemu okrzykowi wartownika, który skwapliwie wykorzystał okazję, aby dać znać światu o swej zapoznanej chwilowo osobie, odpowiedział ostry bas, niespodziewanie przechodzący w radosne pianie, zakończone fatalnym, piskliwym dyszkantem. Dziewczęta zachichotały.

Głupie – pomyślał z pogardą Jarek. – One będą pisać do końca życia...

W blasku ogniska ukazała się drobna sylwetka chłopca w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Postąpił jeszcze krok w stronę ognia i zatrzymał się niepewnie.

– Co tam, Pawełku? – spytał Olik.

Teraz dopiero Jarek poznał chłopca, którego przyprowadził wartownik. Był to młodszy synek nadleśniczego, o którym Jarek wiedział, że owej pamiętnej nocy z największym trudem pozwolił ojcu zapędzić się do domu.

– Nic... – wykrztusił rezolutnie Pawełek, odczekawszy stosowną chwilę.

Olik zaśmiał się.

– To niewiele – stwierdził. – A gdzie tata? Chłopiec ożywił się.

– Piotrek najadł się zielonych jabłek – poinformował – i ma gorączkę. Tata kazał powiedzieć, że nie może przyjść. Pan Kosek mówi, że Piotrka trzeba będzie zawieźć do szpitala. Jabłka były chyba czymś spryskane... – zakończył z tryumfem.

Wspomniany Piotrek był starszym bratem Pawełka. Pan Kosek miejscowym felczerem. Drzewka mogły być spryskane, bo ponoć w tym roku okolicę nawiedziły jakieś szczególnie zjadłe szkodniki. Wszystko się zgadzało. Poza drobiazgiem. Tym mianowicie, że nadleśniczy był przewidziany jako główna atrakcja wieczoru. Olik kilkakrotnie upewniał się, czy aby na pewno przyjdzie.

Ludzie pracujący w lesie potrafią o nim i o zwierzętach mówić tak, że mieszczuchom zapiera dech w piersiach. Nadleśniczy z Głuska był wśród nich perłą pierwszej wielkości. A teraz krewa. Kilka zielonych jabłek i po wszystkim. Idiotyczna historia. Gdyby można

przewidzieć przyszłość, Olik zapewne tego dnia zaraz rano własnoręcznie nałożyłby Piotrkowi kaganiec.

– Stało się coś? – zagadnęła przytomnie czarnowłosa Marylka.

Drużynowy nie odpowiedział od razu. Dłuższą chwilę poruszał bezgłośnie wargami, jakby rzucał urok na wszystkie pobliskie sady. Wreszcie westchnął, pozbierał się z trudem i wstał.

– Nic takiego – rzucił tonem, który jemu samemu wydał się zapewne beztrouski. – Prosiłem nadleśniczego, żeby przyszedł nam coś opowiedzieć – dodał machając ręką. – Okazuje się jednak, że syn mu zachorował. To nic poradzimy sobie bez niego...

– Brat tego chłopca? – zainteresowała się drużynowa, darząc Pawełka wzrokiem pełnym współczucia.

– Brat, proszę pani – potwierdził skwapliwie zwiastun czarnej nowiny. – Nażarł się jabłek... – w głosie chłopca brzmiała radość granicząca z rozkoszą. – On tak zawsze – dodał basem, po czym uzupełnił wibrującym falsetem: – ...co zobaczy, to pcha do gęby...

Drużynowa przełknęła głośno ślinę. Walczyła z sobą przez chwilę, w końcu jednak szlachetniejsza część jej natury wzięła górę.

– Chodź tu bliżej – powiedziała czule. – Chyba możemy zaprosić go na ognisko?...

Druh komendant podskoczył.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął. – Hej, tam! – rzucił kierując twarz w stronę tonącej w mroku kuchni. – Macie jeszcze kawałek kiełbasy?! Dawajcie tutaj! I przynieście chłopcu jakiś koc...

Nie upłynęła minuta, jak w dłoni Pawełka znalazła się długa witka z nadzianą na końcu podwójną porcją kiełbasy. Ktoś przyniósł z namiotu koc, który Olik osobiście zarzucił chłopcu na ramiona.

– Fajny... – ocenił Pawełek, macając brzeg koca palcami, ociekającymi roztopionym tłuszczem.

– Widzicie – ucieszyła się drużynowa.

I nastała cisza. Bo łatwo powiedzieć „damy sobie radę”, znacznie trudniej jednak spełnić podobną zapowiedź w taki sposób, żeby nie utracić opinii człowieka, który wie, co obiecuje. Kiełbasa została zjedzona, kakao wypite, stos chrustu opodał paleniska starczy nie na jedną, ale na trzy noce, ciepło jak w dzień, księżyc świeci coraz jaśniej i wszystko byłoby w największym porządku, gdyby tylko wiedzieć, co dalej. Naturalnie, można pośpiewać. Jedną piosenkę, dwie, niechby trzy, a potem? Śpiewanie w nieskończoność, to dobre dla zuchów. Węże wodne mają dla gości coś lepszego.

Ba, a jeśli właśnie nie mają? Czysta rozpacz.

Milczenie przeciągało się. Raz i drugi wśród dziewcząt odezwały się przytłumione, urwane śmieszki. Któryś z chłopców rzucił na ognisko potężną porcję chrustu. Pociemniało, zadymiło, następnie strzeliło iskrami jak na pokazie ogni sztucznych. Buchnął wysoki płomień, barwiąc na czerwono wodę w jeziorze aż po sąsiedni cypel. Ale i tak z każdą minutą i Węże, i ich goście utwierdzali się w przekonaniu, że nie ma na co czekać.

Wtedy to się stało. Tej chwili, blasku tego ognia i tego głosu, który wyrwał się nagle z milczącej gromady, Jarek nie zapomni do końca życia.

– Słuchajcie! – zabrzmiał donośny baryton Kazika Chrabala. – Mam ciotkę, która wspaniale opowiada sny. Można jej słuchać godzinami. Wiecie, co mi przyszło na myśl?!

Zrobił dramatyczną pauzę.

– Chcesz sprowadzić ciotkę? – spytał ktoś półgłosem.

– Tam i z powrotem dwieście kilometrów. Nie zdążysz.

Kazik pomyślał chwilę, czy się obrazić, ale dał spokój. Zbyt był przejęty własnym pomysłem.

– Nie! – rzucił tryumfalnie. – Ale jest tu ktoś, kto ma zwyczaj sypiać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Co tam ciotka! Niech Jarek opowie, co mu się wtedy śniło!...

Jeszcze sekundę, może półtorej, nie działo się nic. Jaki damski głos mruknął: „eee...”, ktoś inny wzruszył ramionami. Już wydawało się, że pomysł Kazika przejdzie bez echa, za co sam jego autor po zastanowieniu złoży dary wszystkim opuszczonym diabłom, zamieszkującym niegdyś Puszcę Drawską, kiedy nagle wybuchła burza.

– To przez niego nadleśniczy wystawił nas do wiatru – zawołał Jacek. – Bał się, że znowu pognamy go do lasu! Niech go teraz zastąpi!

– Dajcie mu spokój – szydził Jurek Strąg. – Albo spał tak, że w ogóle nic mu się nie śniło, albo musiałyby gadać przez okrągłą dobę. Nie wiem jak kto, ale ja tego nie wytrzymam...

– To niech coś wymyśli! – upierał się Kazik.

– A jak zaśnie w połowie zdania?!

– Już my go zbudzimy!...

I zaczęli wołać wszyscy naraz, przekrzykując jeden drugiego. Jarek, który w pierwszej chwili gotów był przysiąc, że teraz dopiero zasnął na dobre i stał się igraszką najstraszliwszych koszmarów, ujrzał raptem ognisko dwa kroki przed sobą. Zatoczył się. Ktoś pociągnął go do przodu. Ktoś inny popchnął.

– No? – głos drużynowego dobiegał jakby z dużej odległości. – Co powiesz, Jarku?...

Dopiero w tym momencie chłopcu zrobiło się naprawdę przykro. Różnie bywa w drużynie i tylko dureń przywiązuje wagę do gestów czy słówek. Zwłaszcza jeśli ktoś zasłużył sobie na cierpkie słówka, tak jak zdaniem kolegów zasłużył na nie Jarek. Ale nie przy obcych. Przy gościach. A już w żadnym wypadku, kiedy ci goście noszą spódniczki. Niech będzie, że ludzie ulegają niekiedy napadom szału, który trwa dopóty, dopóki są razem, a potem każdemu robi się głupio. Tylko że kto jak kto, ale Olik powinien to rozumieć.

– Dajcie mu spokój – pisnął jakiś litościwy damski głos. I to była ta ostatnia kropla gorzycy.

Jarek wyprostował się. Bardzo powoli odwrócił się i powiódł spojrzeniem od jednej zaróżowionej blaskiem ognia twarzy do drugiej. Chłopcy ucichli. Znowu zaległo milczenie. Jakżeż inne od tej ciszy, która zapanowała po przybyciu Pawełka.

W ognisku pękł jakiś grubszy konar. Na nogi Jarka spadło kilka płatków gorącego popiołu. Z lasu dobiegło stłumione pohukiwanie nocnego ptaka. Odpowiedziało mu słabe echo od strony jeziora. Te głosy, wspinające się po gałązkach płomienie, poczerwieniałe twarze, które tak nagle stały się obce – wszystko to razem sprawiało, że chłopiec poczuł się bardzo daleki od rzeczywistości. Znacznie bardziej niż wtedy, w przestrzeni, wśród istot i rzeczy, przybywających z najdalszych światów. Wśród gwiazd...

Bezwiednie wznosił twarz ku niebu. Ostatnie światło wieczoru dawno już utonęło za horyzontem. Z lewej strony, nad czarną kreską lasu, wśród tysięcy filujących punkcików błyszczała Wega...

I wtedy właśnie spłynęło na Jarka olśnienie. Chcą zrobić z niego ofiarę? A gdyby wykorzystać okazję i odpłacić im pięknym za nadobne? Wystarczy uczynić to, czego się domagają. Opowiedzieć, co mu się „śniło”. Nie przejdzie im przez myśl, że to on robi z nich durni, a nie na odwrót. Dobrze. Niech będzie sen. Przy okazji sprawdzi, jak by to było, gdyby próbował opowiedzieć komuś ten „sen” jako prawdę...

Odchrząknął i nie spuszczać głowy powiedział z udaną niechęcią, żeby nie zwietrzyli podstęp:

– Co, rzeczywiście chcecie posłuchać?...

Z zadowoleniem stwierdził, że jego głos zabrzmiał tak, jak powinien. Ani za cicho, ani za głośno.

Chłopcom odebrało zdolność mówienia. Jak to? Miał być kawał. Znaleźli kozła ofiarnego i chcieli się trochę pobawić jego kosztem. W gruncie rzeczy nikt przecież nie wierzył, że ten spec od chowania się w mysią dziurę zdoła wykrztusić bodaj jedno słowo. Zresztą tak naprawdę wcale nie mieli ochoty słuchać. Kogo? Jarka Kolińskiego, zamiast nadleśniczego? O jakichś snach, zamiast o lesie, zwierzętach i kłusownikach? Dziecinada. Bzdury, dobre może dla ciotek, ale nie dla uczciwych, zahartowanych w bojach wodniaków... Tylko ktoś kto teraz musiał powiedzieć. A przynajmniej rzucić hasło do wycofania się, i to w taki sposób, żeby dać po nosie temu tam, który stoi sobie jakby nigdy nic i próbuje zrobić ich w konia. No co, u licha, żaden się nie odezwie?...

– Mam mówić? – powtórzył spokojnie Jarek.

Nikt nie powiedział „tak”. Ale i nikt nie zaoponował. Na domiar złego Olik wrócił na swoje miejsce przy zgrabnych kolanach drużynowej, gdzie rozsiadł się wygodnie, z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

I Jarek zaczął mówić.

Wojtek chrapał. Wojtek zawsze chrapał, ale głosy, które wydawał z siebie tej właśnie nocy, przechodziły wszelkie ludzkie wyobrażenie. Odzywały się w nich to stary tartak, to motorower bez tłumika, to znowu wiatr szarpiący poluzowane żagle. Krótko mówiąc, o spaniu nie było mowy.

Jarek miał na niego swój wypróbowany sposób. Należało popuścić linkę przytrzymującą namiot, której zaczep wypadał dokładnie nad głową Wojtka. Wtedy płachta spadała mu na nos i chcąc nie chcąc przewracał się na bok. Cisza, jaka następowała, graniczyła z uczuciem, kiedy człowieka nagle przestanie boleć ząb. Wojtek miał bowiem zwyczaj chrapać tylko wtedy, kiedy leżał na wznak...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI